

Barbara Cwoniuk

Igor

Córcce Małgosi



Barbara Ciwoniuk

Igor

© by Barbara Ciwoniuk
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Katarzyna Kołodziej

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-145-3

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

W gimnazjum

Już od pierwszego dnia w gimnazjum miałem jakiś niefart. Wbrew obietnicom, naszą klasę z podstawówki poszatkowali na drobny mak (to i dobrze, i źle), nie było w niej Bartka (źle), nie było Roberta (źle), nie było Filipa (dobrze), ale za to uchowała się, prawie w całości, banda Ryżyczki (bardzo, bardzo źle!). Przez kilka pierwszych dni nie patrzyłem specjalnie na dziewczyny, bo to nieważne. Te czy inne, i tak nie było z nich żadnego pożytku, nic, tylko szeptały i chichotały na przerwach albo darły się między sobą i o byle co skarżyły. Najbardziej dotknęła mnie strata Bartka, bo kumpłowaliśmy się od przedszkola. Gadaliśmy jeszcze na wszystkich przerwach, ale wiedziałem, że wcześniej czy później przygrucha sobie jakiegoś innego kolesia, a wtedy ja pójdę w odstawkę.

Po tygodniu moich jęków mama zaproponowała, że pójdzie do dyra i spróbuje przenieść mnie do jego klasy, ale odmówiłem. Jakoś głupio by to wyglądało i niehonorowo. No bo co by mu powiedziała? Żeby nawet nie wiem, jak uważała, między wierszami wyczułby, że drży o swego jedyne go maminsynka, który rozpacza z powodu rozdzielenia z przyjacielem. Poza tym to Bartka klasa była podejrzanie przeładowana, jemu łatwiej byłoby przejść do mojej, dyrektor nawet publicznie ich do tego namawiał, a jemu jakoś nie wpadało do głowy, żeby

się przenosić. Niektórzy z tej przeludnionej „a” chwalili się, że w ich klasie są prawie sami szóstkowi, że mają najlepszego angiika i matematyka, że będą mieli najwyższy poziom, a dzięki temu czeka ich lepszy start do dobrych liceów i temu podobne bzdury. Banda głupków. Od podstawówki dobrowolnie dali się wmanewrować swoim starym w wyścig szczurów. Zamiast zwykłych szkolnych ciuchów powinni już zacząć nosić garnitury z kamizelkami i krawaty, a zamiast plecaków – czarne teczki czy laptopy.

Wysłuchaliśmy z Tomkiem (teraz z nim siedzę) tych przechwałek z obojętnymi minami. Po twarzy Bartka widziałem, że pochlebia mu to, co plotą jego nowi kumple. Zrozumiałem, że położył naszą przyjaźń na ołtarzu swojej lepszej, świetlanej przyszłości i przestałem już szukać go na przerwach, żeby z nim pogadać. Niech się udławi tym swoim angielskim na wyższym poziomie i tą lepszą matematyką. Mnie wystarczy przeciętna, nienadzwyczajna klasa.

Od małego czułem wrodzony wstręt do młodocianych geniuszy. Nigdy nie miałem świadectwa z paskiem i jakoś to przeżyłem. W pierwszej klasie nie mierzyłem linijką długości minusów przy piątkach i nie dostawałem spazmów z powodu gorszej oceny. Bartek mówił, że to dlatego, że mam taką fajną, normalną mamę, która nie grzebie mi w plecaku i nie kontroluje kieszeni jak jego stara. Zawsze raziło mnie to, że tak ją nazywał. Zamiast „rodzice” mówił „starzy”. Wielu to robi, ale ja nie mogę. Raz spróbowałem i aż mną zatrzęsło ze złości na siebie samego, na moją głupotę. Może to dlatego, że wszyscy dookoła, oprócz rodziców, mają liczne rodzeństwo, mnóstwo wujków i ciotek, a ja mam tylko ją jedną. Ja mam tylko ją, a ona ma tylko mnie. Ciągłe mówimy sobie, że musimy trzymać się razem.

Mama często powtarza, że jesteśmy jak dwa nasionka rzucone na głęboką wodę. Oboje, i ona, i ja, koniecznie musimy znaleźć swój brzeg i zapuścić na nim swoje własne, niezależne od nikogo korzenie. Nie mogę mówić o niej „stara”, bo potrzebuje dużo czasu, żeby od nowa ułożyć swoje rozpieprzone (tak mówi, gdy wpada w lekką histerię) życie, a przy okazji też trochę moje. Dlatego jak najdłużej musi być młoda. Na razie jej się to układanie nie udaje. Poza tym ona naprawdę jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

Facet, który przestał istnieć

Natomiast z czystym sumieniem mogę mówić „stary” o ojcu. Pięć lat temu wykreśliłem go ze swojego życia i od tamtej pory dla mnie nie istnieje. Dobrze pamiętam dzień, w którym od nas odszedł. Byłem pędrakiem, chodziłem do drugiej klasy, ale do dziś mam w głowie każde słowo, które wtedy do mnie powiedział. Nie chcę ich pamiętać, ale tkwią we mnie na dobre, aż się boję, że nigdy ich nie zapomnę i zostaną tak we mnie na zawsze. Z tej jego długiej, logicznej przemowy wynikało jedno – że nas zostawia, tylko to mnie obchodziło. To, co mówił mi o potrzebie zrozumienia, o błędach popełnianych przez dorosłych (nawet mnie już przed nimi przestrzegał!), o swoim nowym, niespodziewanym szczęściu – to był jeden wielki pic na wodę fotomontaż. Faktem było to, że po dwóch tygodniach strasznych kłótni rodziców, któregoś dnia mama krzyknęła: „Ty mu to powiedz!”, chwyciła płaszcz i wybiegła z mieszkania.

Zostaliśmy sami. Ojciec popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, zrobił sobie kawę i usiadł w fotelu naprzeciwko. No i zaczęła mówić te głupoty. Najbardziej wkurzało mnie to, że próbował się przede mną wytłumaczyć, jakbym ja, mały, przestraszony szczył, mógł go wtedy zrozumieć i mu wybaczyć. Trułem, że mnie kocha, że będziemy się często spotykać, obiecywał wspólne wakacje. Zasunął mi nawet taki bajer, że teraz ja będę głową rodziny, że mam przejąć odpowiedzialność za mamę i być jej rycerzem, bo sam najlepiej wiem, jaka jest lekkomyślna, roztrzepana i szalona.

– Ale to ty jesteś jej mężem – powiedziałem twardo.

Zrobiło mu się głupio, ale wcale go nie żałowałem, bo ja najbardziej kochałem mamę właśnie za to wszystko, co on jej zarzucał. Wyglądało to, jakby tak kretyńsko chciał uzasadnić swoje odejście, chociaż obaj wiedzieliśmy, jaka jest prawdziwa przyczyna.

– Tamta druga też myśli, że jej nie rzucisz? – zapytałem.

O mało się nie udławił tą kawą. Szybko ją odstawił, ale ja już nie chciałem go dłużej słuchać, podniosłem się i poszedłem do przedpokoju po kurtkę. Przestraszony przybiegł tam za mną i stanął przy drzwiach. Może myślał, że wybieram się, żeby z powodu jego odejścia popełnić samobójstwo?

– Dokąd idziesz?

Wtedy po raz ostatni spojrzałem mu w oczy.

– Do niej. Muszę ją znaleźć. Teraz ma tylko mnie, ale na pewno damy sobie radę bez ciebie – odpowiedziałem i szybko wyszedłem, żeby już go nie widzieć.

Więcej z nim nie rozmawiałem. Facet, który tyle opowiadał mi kiedyś o swojej sile i odwadze, o męskich przyjaźniach,

o zwycięstwach sportowych, okazał się zwykłym, pustym balonem. Zrzucił na mnie odpowiedzialność za kobietę, którą kiedyś kochał. Zostawił nas tylko dlatego, że nagle mu się odmieniło i spodobała mu się inna. Nie zasługiwał na to, żeby dalej być moim ojcem. Od tamtego dnia przestał dla mnie istnieć.

Aleks

Aleksa poznałem dwa tygodnie przed końcem roku szkolnego. Mama uparła się, żebym przed wyjazdem na wakacje kupił sobie podręczniki do pierwszej klasy gimnazjum, bo nie cierpiała wrześnieowej bieganiny po sklepach. Wróciłem z budy, zjadłem obiad, wypakowałem plecak i z pustym poszedłem do księgarni.

Wracałem przez park. Do powrotu mamy z pracy były jeszcze ponad dwie godziny, a nie chciało mi się siedzieć samemu w czterech ścianach. Bzik był już wyprowadzony. Wypatrzyłem sobie zaciszną ławeczkę, z dala od bandy rozwrzeszczanych dzieciaków, rzuciłem na nią plecak i rozsiadłem się wygodnie. Słońce nieźle grzało, słuchałem ptaków i szumu drzew. Po rannym deszczu było parno i zielono, prawie widziałem, jak przy moich butach rośnie trawa, słyszałem, jak nad głową pękają lśniące pączki i chrzęszczą młode, rozwijające się liście.

Błoga chwila nie trwała jednak długo, bo do sąsiedniej ławki przywlokło się czterech takich i, nic sobie nie robiąc z zakazu spożywania alkoholu w miejscach publicznych, od razu zaczęli osuszać swoje puszki. Szczerze mówiąc, nie powinienem ich chyba tak od razu posądzać o łamanie ogólnopństwowych

przepisów. Może byli to ludzie podatni na reklamy telewizyjne i niewinnie spożywali sobie piwo bezalkoholowe?

Mama nazywa takich gości „królami życia”. Mówi, że do szczęścia niczego im nie potrzeba, prócz określonej ilości alkoholu dziennie. Na niczym innym im nie zależy. Całymi godzinami siedzą na tych skwerkach i nic, tylko sobie spokojnie spożywają i kontemplują. Prawie jak jońscy filozofowie przyrody, tylko że ich obserwacje nie są aż tak głębokie, pewnie wcale nie myślą o *arche*. Ale jeżeli ich jedynym, nieskomplikowanym pragnieniem są tylko te puszki z piwem, a w dzisiejszych czasach jest o nie tak łatwo, to codziennie spełniają swoje marzenia i żyją szczęśliwie i beztrosko jak królowie. Wszystkim innym, którzy marzą o pięknych domach, samochodach i podobnych bogactwach, nie jest tak łatwo. Muszą tyrać. Mama jest bardzo pogodną i tolerancyjną osobą, nie potępia tych królów, a może nawet ich lubi, ale uważa, że ci, którzy wybrali taki sposób życia, nie powinni mieć rodzin. Twierdzi, że to nie ich wina, że są tacy, że to kwestia wychowania i środowiska, z którego pochodzą. Ogólnie określa to zjawisko „problemem społecznym”.

Kiedyś przyznała mi się, że biegnąc rano ze sklepu z zakupami, raz czy dwa wspomogła jednego finansowo, bo ją grzecznie o to poprosił. Gość musiał być na poziomie, bo od tamtej pory zawsze jej się uniżenie kłaniał. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie fakt, że ci królowie są tacy towarzyscy i lubią przesiadywać na ławkach całymi stadami. Po tygodniu wszyscy zaczęli witać mamę jak starą znajomą. Spłoszona próbowała zmienić sklep, żeby nie narażać się na zgorzone spojrzenia naszych niektórych sąsiadek, ale nic z tego nie wyszło, bo w tym nowym rano zawsze były duże kolejki i okazał się drogi. Więc

mama dalej biega przez park i grzecznie odpowiada na powitania swoich nieznanym znajomych. Mówi o nich dobrze, ale zawsze szybko ze mną od nich odchodzi, jeśli znajdą się gdzieś w pobliżu, ze względu na ich niewyszukane słownictwo. Biedna mama nie ma pojęcia, jakich słów musi wysłuchiwać jej syn na przerwach w szkole, ale to już zupełnie inna sprawa.

Wracając do tego majowego dnia, ci czterej szybko uporali się z puszkami, które przynieśli i do pełni szczęścia wyraźnie zaczęło im czegoś brakować. Siedziałem ciut niepewnie na ławce obok, głupio było mi tak od razu wstać i uciekać. Żeby dodać sobie trochę luzu, na chybił trafił wyciągnąłem z plecaka *Historię*, którą miałem przerabiać w przyszłej nowej szkole, i z najwyższą uwagą zacząłem zgłębiać dzieje starożytnej Mezopotamii. Niektóre punkty *Kodeksu Hammurabiego* nawet mi się spodobały. Poważnie zacząłem zastanawiać się, kogo z moich znajomych mógłbym podciągnąć pod te starożytne paragrafy i w imieniu prawa ukatrupić lub – w łagodniejszym wypadku – tylko wybić oko czy ząb, kiedy wydało mi się, że jeden z tych królów z sąsiedniej ławki coś do mnie krzyknął. Popatrzyłem w ich stronę.

– Hej! Ty! Mały!

Gapiałem się na tego, który najwyraźniej mnie wołał. Był najmłodszy ze wszystkich, miał barki byka. W przeciwieństwie do mamy, nie miałem ochoty na tę znajomość. Ja byłem jeden, ich czterech. Z pieniędzy na podręczniki sporo mi jeszcze zostało, bałem się, że zechcą mnie z nich oskubać. Uciec też nie miałem szans, bo byli za blisko.

– Co się strachasz? Podejdź! – jeszcze raz zawołał ten młody.

Jego kumple zarechotali wesoło, widać z nudów spragnieni byli nie tylko piwa, ale i jakiegokolwiek rozrywki. Wbrew moim

wcześniejszym postanowieniom, zdecydowałem się zawrzeć tę znajomość i, ociągając się, podszedłem do nich.

Bez słowa spojrzałem młodemu w oczy. Przypatrywał mi się dość przyjaźnie. Wyglądał na podrabianego robotnika, ubrany był w granatowy kombinezon i brudny podkoszulek. Miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy, niebieskie oczy i był prawie czarny od słońca. Chyba jednak musiał gdzieś pracować, może w pobliżu, przy remoncie torów tramwajowych, bo widziałem, że od dłuższego czasu już je naprawiano. W każdym razie trudno było podejrzewać go o to, że od wczesnej wiosny lata na plażę.

Gdy stanąłem przed nimi, gość spoważniał. Jego kumple też przestali zanosić się śmiechem.

– Mały, zanim wyrośniesz na młodego Einsteina, wyświadczyć przysługę klasie robotniczej i skocz po browar – poprosił ten młody.

Poprosił, a to już było coś. Spodziewałem się, że będą chcieli naciągnąć mnie na forszę, ale niebieskooki leniwie sięgnął do jednej z kieszeni w swoim obszernym kombinezonie i wyjął z niej najprawdziwszy banknot stużłotowy. Podał mi go z taką miną, jakby nie dopuszczał do siebie możliwości, że mu odmówię.

– Bezalkoholowe? – zapytałem niewinnie.

Zmrużył oczy i przyglądał mi się z powagą, za to jego podstarzali kolesie znowu zarzeli jak stado baranów.

– Czyżbyś nie był wystarczająco kumaty, panie Einstein? – Podniósł leżącą na ławce paczkę papierosów i bez pośpiechu, jak w zwolnionym tempie, zapalił jednego.

– Masz pecha. Chętnie wyświadczyłbym ci tę przysługę, ale sam widzisz, że jestem jeszcze mały. – Wyciągnąłem do niego rękę z banknotem, by mu go zwrócić. – W naszym kraju alkoholu i papierosów małaolatom nie sprzedają.

Jeden z jego rozbawionych kumpli, prawie całkiem siwy mimo średniego wieku, o mało nie spadł z ławki, dusząc się w konwulsjach śmiechu. Musieli być naprawdę spragnieni rozrywki, jeżeli zwykła rozmowa tak ich cieszyła. Tylko my dwaj byliśmy poważni.

– Temu da się zaradzić, mały – odezwał się flegmatycznie niebieskooki. – Idź do tego sklepu za rogiem i kup browar u takiej grubej, cycatej blondynki. Powiedz jej, że to dla Aleksa, a na pewno nie zażąda od ciebie dowodu.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Wyraźnie czekał, czy czegoś nie powiem, ale niczego więcej nie wymyśliłem. Kiwnąłem głową na zgodę i ruszyłem alejką, by wyświadczyć mu tę przysługę.

– Kup osiem! Ona będzie wiedziała jakie! – krzyknął za mną.

Nie oglądając się, machnąłem mu ręką na znak, że słyszę, i obojętnie odszedłem. Zacząłem biec dopiero wtedy, gdy zniknąłem im z oczu. Bałem się o mój plecak z nowymi książkami, na które mama oddała mi swoje ostatnie oszczędności, ale nie miałem wyjścia. Przecież nie buchną mi podręczników! Nie pozwolą też chyba zabrać ich komuś innemu. Na szczęście po powrocie okazało się, że wszystko było w porządku. Tak poznałem Aleksa.

Blizsza, przypadkowa znajomość

Potem spotykałem go prawie codziennie, jednak pracował przy remoncie torów tramwajowych, akurat robili nasz przystanek. Ryli ziemię, montowali podkłady, kładli kostkę na

przejsiach dla pieszych. Widywałem go na koparce, sterczącego z łopatą lub z młotkiem, układającego nową nawierzchnię. Mijaliśmy się bez słowa, czujnie się obserwując. Raz uśmiechnął się do mnie drwiąco i coś powiedział do swoich kolegów, a jeden z nich krzyknął za mną wesoło: „Ej, Einstein!”. Dzięki temu, że pracował akurat koło przystanku, na którym wysiadałem, wracając ze szkoły, w ostatnich dniach nauki w podstawówce uratował mi tyłek przed bandą Ryżyczki.

Tamtego dnia Bartek podsłuchiwał ich rozmowę, namawiali się, że po lekcjach mi przyłożą. Jako jeden z niewielu w klasie nie płaciłem im haraczu. Krzysiek i Mariusz już wzięli od nich łomot, widziałem ich poszarpane ubrania i rozwalone plecaki. Do pobicia zostaliśmy tylko my dwaj – Bartek i ja, a właściwie już tylko ja, bo on jakimś cudem się z nimi dogadał (może zapłacił, chociaż się do tego nie przyznawał).

Wiedziałem, że u nich ustalona data to tak, jakby wydano wyrok. Udawałem, że jestem nieświadom czekającego mnie manta, ale po ostatniej lekcji tak się zakręciłem, żeby szybko zniknąć im z oczu, nawet nie czekałem na Bartka. W drodze na przystanek kluczyłem, jak tylko mogłem, ale i tak mnie na nim dopadli. Na szczęście nawinęła się nasza anglica Andżela. Podszedłem do niej i zagadnąłem na temat pogody. Pogawędziliśmy tych kilka minut, aż do przyjazdu tramwaju, i wsiałem do niego tuż za nią, a w środku trzymałem się tak blisko niej, jakbym był jej nieletnim synkiem, który boi się zgubić. Była lekko zdziwiona. Na szczęście mijała mój przystanek (bezczelnie zapylałem ją, gdzie mieszka).

Nad głowami dzieciaków, którymi zapchany był tramwaj, widziałem wściekle, mściwe mordy Ryżego i jego kumpli. Odgrazali mi się z daleka, robiąc dyskretne znaki oznaczające bli-

ską masakrę. Wiedziałem, że moim jedynym ratunkiem była prędkość. Byłem dużo szczuplejszy od każdego z nich i szybszy. W kieszeni dyskretnie namacałem klucz od drzwi wejściowych klatki i przygotowałem się do startu. Pożegnałem się grzecznie z Andżelą i na łeb na szyję wyskoczyłem z tramwaju, od razu, gdy stanął na moim przystanku. Runąłem w tłum, o mało nie rozdeptałem kilkorga płaczących mi się pod nogami dzieciaków, przebrnąłem przez jakiś równo zagrabiony piasek i wpadłem prosto w ramiona Aleksa.

– Hej, panie Einstein! Szanuj cudzą pracę! – krzyknął, upuszczając z rąk trzymane narzędzie.

Podąłem mu je i obejrzałem się. Tamci czekali już niecierpliwie jak psy gończe, gotowi dopaść mnie od razu, gdy tylko Aleks mnie wypuści. Zrozumiałem, że jego obecność tutaj jest dzisiaj, po Andżeli, drugą rzuconą mi deską ratunku (co za hojność losu!).

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Byłbyś uprzejmy wyświadczyć mi niewielką przysługę? – zagadnąłem go cicho.

Zrozumiał, że chcę go o coś prosić, bo na jego twarzy rozlał się dobrotliwy, lekko drwiący uśmiech.

– Chcesz powiedzieć: przysługa za przysługę, Alberciku?

Skinąłem głową. Po moich oczach musiał poznać, że jestem ciut zdesperowany, a że był bystrym gościem, powiódł wzrokiem po okolicy i przywodził wpatrujących się we mnie goryle Ryżyczki.

– Cóż, możemy to rozważyć – wycodził przez zęby i szybko poskromił swój złośliwy uśmiech, żeby przed obserwującymi nas nie zdradzić naszej cichej i nieoczekiwanej komitywy.
– Siwy, powiedz szefowi, że oddałam się na kwadrans – rzu-

cił swoje narzędzie pracy temu, który kiedyś o mało nie spadł z ławki ze śmiechu, i spokojnie ruszył ze mną.

Tamten poznał mnie i poklepał przyjaźnie po ramieniu, gdy przechodziłem obok. Pokonaliśmy razem przejście dla pieszych i Aleks przystanął, żeby zapalić papierosa. Nad moją głową dyskretnie spojrzął na opustoszały już prawie przystanek, przy którym sterczała banda moich prześladowców. Byli wyraźnie zdezorientowani.

– No? O co w tym wszystkim biega? – przyjrzał się bacznie mojej twarzy. – Ci kolesie mają co do ciebie jakieś plany? Dobrze jarzę?

– Tak – odpowiedziałem twardo. – Chętnie bym z nimi powalczył, ale mam bardzo wrażliwą mamę, więc chcę jej oszczędzić stresu. Każdy siniak na mojej gębie ją załamuje... Potem niepotrzebnie histeryzuje, całą noc nie śpi i zaraz chce lecieć do dyra. Ona wierzy, że z takimi młotami można wygrać.

– Dobry z ciebie dzieciak. Troszczysz się o swoją mamusię. – Chyba mnie zrozumiał.

– No właśnie. Nie boję się ich, ale muszę dbać o nią.

– OK. Prowadź, wodzu – zażartował. – Od dziś będę robił u ciebie za ochroniarza.

Minęliśmy drugie przejście i powoli zbliżaliśmy się do jego bloku.

Aleks obejrzał się za siebie.

– Idą. Nie chcą ci odpuścić. Chcą cię obszukać? Wyglądają na takich, co wyzywają się na słabszych.

– Nie jestem żadnym frajerem! – oświadczyłem z godnością.

– Wcale nie mówię, że jesteś, ale w przeciwieństwie do nich wyglądasz na porządnego dzieciaka. Chcesz czy nie, masz to

w oczach. Osobiście uważam, że to nie jest w porządku, kiedy takie bandy kroją solistów...

– Mnie już nie skroją!

– OK. Ale może przydałoby się im coś niecoś wytłumaczyć?

– Nie, dzięki. Tutaj mieszkam – przystanąłem, żeby się z nim pożegnać.

Spojrzął na mnie tak, że zrobiło mi się głupio, ale nic nie powiedział, tylko kiwnął głową i wyciągnął dłoń.

– Naprawdę się ich nie boję – oświadczyłem stanowczo.

Musiałem mu to powtórzyć.

– W porządku. Wiem, że nie pękasz. – Mocno ucisnął mi rękę i spokojnie cofnął się dwa kroki. – No? Pędź!

Sprintem pokonałem odległość między chodnikiem a wejściem do mojej klatki schodowej. Zziębnięty wpadłem do środka, zatrzasnąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie plecami. Ostrożnie wyjrzałem przez szybę. Nie gonili mnie. Stali ze spuszczo-nymi głowami przed Alekssem i pokornie słuchali tego, co do nich mówił. Nigdy się nie dowiedziałem, o czym była wtedy między nimi ta gadka, ale przez kilka dni, jakie zostały do końca roku szkolnego, Ryży i jego kumple nie zbliżyli się już do mnie na krok.

Mama

Mama ma na imię Selma, co jest nieustannym źródłem uciechy dla wszystkich, którzy ją znają, bo ciągle je zmieniają i wołają na nią Szelma. Nie ma się czemu dziwić, skoro nawet nasz stary komputer podkreśla na czerwono jej imię i pro-

ponuje w zamian tę szelmę. Pamiętam, że Ten, Który Już Dla Mnie Nie Istnieje (parafrazując pewną znaną autorkę), też nazywał ją kiedyś Szelmutką, za co wcale się na Niego nie złościła.

Mama jest nadzwyczajna. Od razu po odejściu od nas Sami Wiecie Kogo (z tym sposobem nazywania niektórych indywiduów Rowling trafiła w dziesiątkę!), Selma przyniosła do naszego domu małego, zapyziałego szczeniaka, znalezione w kartonie pod śmietnikiem, który godnie go zastąpił. To znaczy nie tak całkowicie, raczej zatkał, zappełnił pustkę, jaka po nim została. Pochłaniał cały nasz czas (w tym i mój przeznaczony na lekcje, czym mama niezbyt się martwiła, a tym bardziej ja), był źródłem naszej nieustannej pociechy. Oboje tak rozpaskudziliśmy szczeniaka, że nie było innego wyjścia, jak nazwać go Bzikiem. Szybko poczuł się panem sytuacji w naszym domu i potem już nie było sposobu, żeby mu to wybić z głupiego łba.

Jest to zwykły, czarny, jamnikowaty kundel, pewny siebie (aż bezczelny!) i bardzo jazgotliwy. Z naszej trójki ja jestem najpoważniejszy. Bzik z mamą często wyczyniają takie cyrki, że potem sąsiedzi dziwnie na nas patrzą. No bo wyobrażacie sobie stateczną na co dzień kobietę (kierownik biblioteki!), jak z wrzaskiem ugania się po mieszkaniu za psem, nie pomijając kanapy, foteli, a nawet stołu? Albo straszy swego ulubionego kundla, wydając dźwięki, które podniosłyby umarłego? Czasem dochodzi do tego, że biedny Bzik się jej boi i chowa przed nią po kątach. Ostatnio, gdy mama ma napady takiego szaleństwa, pies zwiewa do łazienki i wskakuje do wanny. Lubi się z nią bawić, ale nie aż tak. Często jej mówię (gdy jest taka nieokiełznana), że z nas wszystkich to ona ma największego bzika, a nie pies, który nosi to imię. Szelma i Bzik. Dobrze sobie. Całe

szczęście, że ja nazywam się tylko Igor, a nie jakiś Wściekłomir (tak naprawdę chyba nie ma takiego imienia), Wszegniew, Męcimir czy Mścigniew. Gdyby mama tak mnie nazwała, uduśliłbym ją od razu po urodzeniu.

Mama wcale nie jest lekkomyślna i roztrzępana, jak twierdził Ten Facet, chcąc wykręcić się sianem i zlecając mi nad nią opiekę. Jest tylko bardzo optymistycznie nastawiona do życia, pogodna i pełna energii. Czasem zachowuje się jak mała, stuknięta dziewczynka (co jej często mówię, a z czego ona się śmieje).

Zawsze wszędzie chodzimy razem, to znaczy tylko wtedy, gdy ja tego chcę. Gdy siedzę przy komputerze, sama musi latać z Bzikiem na spacerzy lub do sklepów, ale gdy wymaga ode mnie, żebym poszedł z nim do parku, zawsze błagam ją, żeby nam towarzyszyła i zwykle daje się uprosić, choćby nie wiem, jak była zajęta. Ostatnio miała bąbla na pięcie (nowe buty!) i chciała się wymigać od wyjścia z nami. Przewaliłem całą apteczkę w poszukiwaniu plastra, ale go nie znalazłem. Selma pozwoliła okleić sobie stopę moim szkolnym przezroczystym przyklepcem (z chusteczką higieniczną pod spodem) i poszła tak ze mną, ubawiona do łez.

Największą namiętnością mamy są Kozacy, wie o nich wszystko. W swojej bibliotece wytropiła wszystkie książki, w których jest choćby najmniejsza o nich wzmianka. Na kilkunastu dyskietchach ma pościągane z internetu materiały na ich temat, ciągle w nich grzebie i ciągle jest jej mało. Kultową książką Selmy jest *Cichy Don*, już we wczesnym dzieciństwie czytała mi ją głośno ze dwa razy (byłem mały i nie umiałem wtedy jeszcze skutecznie protestować). W wieku przedszkolnym niewiele z tego rozumiałem, pamiętam, że duże wrażenie zrobiło na mnie słowo „rewolucja” i podział ludzi na białych

i czerwonych (panie w przedszkolu nie mogły się nadziwić, czemu na wszystkich moich rysunkach ludziki, a nawet zwierzęta, są pomalowane na biało lub czerwono; z powodu braku białej kredki w pudełkach często rozpaczałem). We wspólnej lekturze tego dzieła najbardziej podobało mi się to, że mama tak długo była blisko mnie, że słyszałem jej głos i że często chrypla, bo dzięki temu podczas krótkich przerw w czytaniu świetnie udawała wilka.

Dziś wiem o tej książce bardzo dużo, bo systematycznie, od lat, w mojej obecności roztrząsane są tematy dawnych i obecnych Kozaków, to jest przede wszystkim Ukraińców, chociaż po rozpadzie imperium sowieckiego spora część Kozaków pozostała w Rosji (w tym i dońscy). Jak na moją głowę trochę za dużo jest tych Kozaków, bo są jacyś teryjcy, kubańscy, astrańscy, rizańscy, tamańscy, zaporoscy, tereccy, a nawet uralscy i syberyjscy, wszystkich nie pamiętam. W ogóle pogmatwało się teraz z tą geografią. Selma kupowała nowe atlasy, a mapy sprzed kilkunastu lat pochowała na dno szuflad po tym, jak w trzeciej klasie podstawówki samodzielnie wyszukałem państwa graniczące z Polską i ich ilość nie zgodziła mi się z liczbą podaną w ćwiczeniach. Chociaż sama dalej ślęczy nad jakimiś starociami (jedno z nich nazywa się *Atlas awtomobilnych darog CCCP*, a drugie *Kaukaskie kresy Rosji*).

Dawno temu Selma wpadła na trop międzynarodowego fałszerstwa w związku z tą książką (międzynarodowego, bo nikt z zachodnich specjalistów tego nie oprotestował jak należy!). Nie znosi Michaiła Szołochowa, oficjalnego autora *Cichego Donu*, który zgarnął za to dzieło literackiego Nobla (szczęście, że facet od dawna nie żyje, bo gotowa byłaby kiedyś go odszukać i dotkliwie pobić). Twierdzi, że od razu, po pierwszej

lekturze, autorstwo Szołochowa wydało się jej podejrzane, bo w momencie wydania pierwszego tomu (w 1928 roku) miał on tylko dwadzieścia trzy lata i był zbyt młody, by napisać coś takiego, ale na szczęście jego „własne przeróbki” nie na wiele się zdały i całość dzieła jest niezgodna z jego komunistyczną ideologią. Za prawdziwego autora mama uważa Fiodora Dmitriewicza Kriukowa, prawie zapomnianego już kozackiego pisarza. Jego poźółkła fotografia od lat stoi na półce przy telewizorze (potężny, miły mężczyzna w średnim wieku, z krótką brodą i wąsami, w oficerskim mundurze z wysoką stójką). Mama w ten skromny sposób chce uhonorować pamięć o faktycznym (według niej!) autorze ukochanego dzieła. Taka sama fotografia stoi na jej biurku w bibliotece. Śmiejemy się do siebie po cichu, gdy wszyscy odwiedzający nas biorą go za mojego pradziadka. Mama głęboko wierzy, że ktoś kiedyś naprawi ten paskudny przekręt (a podejrzewa, że Szołochow maczał palce w śmierci Kriukowa, by ukraść mu rękopisy!) i że dalsze wznowienia *Cichego Donu* wydawane będą już pod nazwiskiem prawdziwego autora.

Ryżyczka

Po kilku tygodniach nauki zasymilowałem się w mojej nowej klasie (jak to mądrze mówi mama), co po ludzku oznacza, że wtopiłem się w tło. Tomek jest kumplem wcale nie gorszym od Bartka, podobnie jak ja po uszy siedzi w sprawach komputerowych. Mamy o czym pogadać na przerwach, a nawet zaczęliśmy bywać u siebie popołudniami. Też jest półsierotą (niech

ktoś powie, że ze mną tak nie jest!), z tym że jego ojciec nigdy się go nie wyrzekł, ale jak każdy przyzwoity człowiek po prostu umarł kilka lat temu. Tomek ma bardzo zaharowaną matkę, troje rodzeństwa i (podobnie jak my) ledwo wiążą koniec z końcem.

Klasa byłaby zupełnie OK, gdyby nie szajka Ryżyczki, która na przerwach niepotrzebnie robi głupie zadymy, zaczepia dziewczyny i drażni nauczycieli, co skutkuje dużą ilością niespodziewanych kartkówek i innych form belferskiej zemsty. Prawie zawsze, gdy w pobliżu nie ma nauczyciela, rozlegają się piski dziewczyn, jęki dręczonych słabeuszy i zaraz potem charakterystyczny, debilowaty rechot Ryżego i wtórujących mu kumpli.

Unikam tych sadystów, jak tylko mogę, ale przez skórę czuję, że niedługo czeka mnie jakaś utarczka z nimi, bo kilka razy złapałem na sobie tępy, nienawistny wzrok Ryżyczki. Cokolwiek Aleks powiedział im wtedy, pod koniec podstawówki, poszło już w zapomnienie. Ryży dyszy pragnieniem zemsty, wiem, że przyczał się tylko i czeka, żeby w odpowiedniej chwili znowu dobrać się do mnie.

Pod koniec piątej i w szóstej klasie podstawówki skroili mnie ze trzy razy. Po dwóch pierwszych niczego Selmie nie mówiłem, ale tego ostatniego nie dało się już ukryć. Wróciłem do domu z porwanym plecakiem, ponad połowa moich książek i zeszytów utopiła się w błocie, w które mnie wdeptali. Podręcznik do angielskiego (kosztował majątek!) Ryży wgniół swoim wielkim buciorem w sam środek kałuży. Próbowiałem ratować sytuację, za wszelką cenę nie chciałem mieszać mamy w swoje sprawy, ale nastawiłem zły program w pralce i moja kurtka i spodnie, po wyjęciu z niej, nadawały się już tylko do wyrzu-

cenia (chciałem wyprać je „porządnie” i pokręślił termostatu ustawiłem na 90°C!). No i Szajbie, choć uderzał mnie z płaskiej, kilka razy to nie wyszło, dlatego miałem na sobie parę sińców w widocznych miejscach, których w żaden sposób nie mogłem usunąć (a wygłupiłem się i próbowałem, ale nie powiem jak!).

Po powrocie Selmy do domu przedstawiłem jej najłagodniejszą wersję zdarzenia, ale – jako że nie potrafię kłamać – musiałem opowiedzieć jej o wszystkich poprzednich zajściach.

W ciągu dwóch następnych tygodni mama wywołała niezmierną awanturę w naszej budzie. Powiadomiła policję, kuratorium i wystąpiła na ogólnym zebraniu rodziców z dyrekcją szkoły (na które zaprosiła prasę!). Skutkiem jej działań było to, że Ryżyczkę i jego bandę na jakiś czas zawieszono w prawach ucznia i obniżono im oceny ze sprawowania. Winę za przemoc w szkole sprawiedliwie rozłożono na uczniów, rodziców i nauczycieli. Rodziny Ryżego i innych „niewinnie ukaranych” przez kilka tygodni wydzwaniały do nas z pogrózkami, co nie pozostawało bez wpływu na zszargane nerwy Selmy. My, uczniowie, przez dwa miesiące po tej aferze mieliśmy względny spokój, a potem szkolne życie wróciło do normy.

Na razie jak nic cieszą mnie pały Ryżyczki, mam nadzieję, że może zdarzy się cud i obleje tę pierwszą klasę albo że jego kochani, troskliwi rodzice gdzieś go przeniosą (na przykład do jakiejś niepaństwowej szkoły), bo ich synek, jak nikt inny w grupie, jest odporny na wiedzę i w ciągu kilku lat nauki nigdy jeszcze nie splamił się najkrótszą chociażby, logiczną wypowiedzią. Wywołany przez nauczyciela poci się tylko obficie i stroi miny, jakby sklecenie dwóch prostych zdań wymagało od jego niedorozwiniętego mózgu nadludzkiego wysiłku. Za to po przeżytych na lekcji upokorzeniu ze zdwojoną pomysłowością dręczy każdego, kto miał odwagę obserwować go w czasie odpowiada-

nia, a już nie daj Panie Boże roześmiać się z głupot, które z takim trudem wystękiwał. Po miesiącu tak wytresował klasę, że nikt już nie podnosi głowy znad blatu stolika, gdy go torturują odpytywaniem i, choćby plótl nie wiem jakie bzdury, wszyscy milczą jak głusi.

Nie rznę już bohatera, jak w podstawówce, i nie wtrącam się do ich porachunków z innymi chłopakami (obiecałem to Selmie). Krzysiek i Mariusz, którzy też są w mojej klasie, chyba nadal nie płacą mu daniny i co miesiąc bez skarg biorą lekkie lanie. Lekkie, bo są ulegli i nie pyskują. Nie wiem, jak jest z pozostałymi chłopakami. Kilka razy widziałem, jak niektórzy płacili mu za tę „ochronę” (Ryży naoglądał się głupich filmów i uważa się za jakiegoś mafiosa). Na szczęście nie miesza do tej zabawy w mafię dziewczyn, bo wtedy bym chyba nie wytrzymał.

Na przerwach omijam go wielkim łukiem. W tej szkole niewiele jest kątów, w których mogliby mnie dopaść, na korytarzach, w szatniach i w ubikacjach jest monitoring. Na krótkich przerwach trzymamy się z Tomkiem blisko dyżurujących nauczycieli, na długich biegamy do szkolnej czytelnicy. I na razie jakoś to leci.

Grażka i Aldona

Selma ma dwie przyjaciółki, które od czasu do czasu zadamawiają się u nas na dobre.

Grażkę nawet lubię. Specjalnie dla mnie piecze pyszne ciasta, jest bardzo kulturalna, dyskretna i miła, no i naprawdę

wspiera mamę w chwilach większych załamania. Ze dwa razy mieszkała ze mną, kiedy mama wyjeżdżała na jakieś kursy czy szkolenia, i było nam ze sobą zupełnie dobrze. Grałismy w szachy, w remika, oglądaliśmy filmy, Grażka pitrasila fajne dania na kolację.

Za to nie cierpię Aldony. Nie wiem, jak Selma może przyjaźnić się z taką osobą. Jest próżna, leniwa, wścibska, prostacka, chamska i... podobne przymiotniki mógłbym mnożyć i mnożyć. Najbardziej nie lubię jej za to, że jest taka rozrywkowa i na siłę próbuje znaleźć mamie jakiegoś fagasa (sama ich tak nazywa). Niby przypadkiem wpada czasem w towarzystwie jednego lub dwóch (a bywało, że i trzech!) facetów i siedzą u nas przez cały wieczór, a nawet pół nocy. Te typki od razu wyciągają jakieś bombonierki, alkohole i z miejsca zaczynają umizgiwać się do mojej mamy. Często ją to krępuje, ale niekiedy rozkręca się i staje się bardzo ożywiona i radosna (wtedy po cichu szepcze mi do ucha, że nie miała pojęcia, że była aż tak spragniona towarzystwa). Późnym wieczorem Aldona zwykle przytuła się już do któregoś z tych drabów i nic, tylko chichocze.

Mama nigdy tak się nie zachowuje, nawet nie siada koło nich na kanapie, tylko rozmawia z nimi z daleka. W ciągu tych kilku lat tylko raz, i to całkiem niedawno, zanosilo się na katastrofę, ale sam temu zaradziłem. Jeden taki musiał się jej jakoś specjalnie spodobać, bo przychodził potem do nas przez trzy kolejne wieczory. Pierwszy i drugi raz wyszedł o przyzwolonej porze, ale tego trzeciego dnia zakotwiczył się u nas na dobre. Został z mamą, chociaż ta stuknięta Aldona poszła już sobie ze swoim typkiem. Jak zawsze udawałem, że śpię, ale byłem czujny. Po kilku minutach podejrzanego ciszy zawołałem Selmę

i powiedziałem jej, że źle się czuję. (Przedtem schowałem głowę pod kołdrę i trochę się pod nią poddusiłem, żeby zaczerwienić się na twarzy, mieć przyspieszony oddech i gorące czoło. Całe szczęście, że kiedyś Bartek opowiadał mi, jak nabiera swoją mamę). Selma zaraz wpadła w panikę i pobiegła po termometr, a ja natarłem go zgodnie z instrukcją Bartka. No... może trochę przesadziłem, ale za to taka przestraszona szybko pożegnała tego gościa.

Po jakimś czasie przyznałem się jej do tego numeru, ale wcale nie była na mnie zła. Przy okazji odbyliśmy ze sobą szczerą rozmowę na temat spraw damsko-męskich i... seksu. Powiedziała mi wszystko. Nawet to, że niektórzy chłopcy w moim wieku są już tak bardzo rozbudzeni seksualnie, że onanizują się, żeby rozładować to napięcie (nazwała to burzą hormonów) i że jest to normalne. I o „nocnych niespodziankach” – polucjach, które są objawem zdrowia i dojrzałości biologicznej narządów płciowych. Selma powiedziała, że bym się nie krępował, jeśli i mnie to się zdarzy, i bym po prostu zmienił sobie wtedy bieliznę.

To dziwne, ale ta rozmowa wcale nas nie krępować, gadaaliśmy o tym jak o jakiejś grypie. Sprytnie wyłapałem z jej opowieści to najważniejsze – że bardzo blisko ze sobą mogą być tylko ludzie, którzy się kochają.

– Naprawdę podobał ci się ten dupek, którego przyprowadziła Aldona? – zapytałem ją z nieodgadnioną miną.

– Który? – Moja śliczna Selma niewinnie uniosła swoje czarne brewki.

– Nooo... ten... trzydniowy. Ten, przez którego udawałem chorobę.

– Przecież się z nim nie spotykam, głuptasie, chociaż bardzo chciał... – Dała mi pstryczka w nos i roześmiała się wesoło, ale zaraz spoważniała. – A swoją drogą... dziękuję ci, Wilczku, że tak dbasz o swoją mamusię.

Jak już tak pochwaliła moją czujność i rozsądek, to przy okazji wymogłem na niej przyrzeczenie, że już nigdy nie będzie piła żadnych drinków w towarzystwie kumpli Aldony. No, najwyżej jednego.

– Zgoda – obiecała lekko i spojrzała na mnie z czułością.

Za to zupełnie inaczej, przy najbliższej okazji, popatrzyła na mnie Aldona.

– Mały tyran! – syknęła, gdy mijaliśmy się w drzwiach kuchni.

– Farbowana kwoka! – nie byłem jej dłużny.

– Despot! – prychnęła z wściekłością.

– Jesteś głupsza od bakterii – rzuciłem za nią i zadowolony, że ją tak wkurzyłem, ze spokojem zrobiłem sobie kanapkę.

Kobietto, puchu marny?

O tym, jak ważna w moim życiu jest Selma, przekonałem się podczas jej ostatniej choroby. Tego dnia, po powrocie z pracy, cały wieczór kichała i parskała jak koń, potem rozbolała ją głowa, a koło siódmej zaczęły nią trząść jakieś dziwne dreszcze. Łyknęła aspirynę i witaminy, wbiła się w swoją najcieplejszą piżamę i wcześniej niż zwykle położyła się do łóżka. Spod naciągniętej aż pod nos kołdry spróbowała się jeszcze do mnie uśmiechnąć.